

Polski „self-made man” zapomniał o rodzicach

7 stycznia 2017

Jednym z większych przekleństw naszego kraju jest to, że zdecydowana większość tych, którym się udało coś osiągnąć (zarobić duże pieniądze, zdobyć rozpoznawalność albo zostać szanowanym autorytetem), jest święcie przekonanych, że wszystko to zawdzięczają głównie sobie. Gdyby dać wiarę tym przekonaniom, okazałoby się, że nasze szeroko rozumiane górne warstwy utkane są niemal z samych self-made manów, którzy do swoich sukcesów doszli wyłącznie własną ciężką pracą. A jeśli Polska lub inni Polacy mieli jakiś wpływ na ich drogę życiową, to głównie w postaci kłód niemiłosiernie rzucanych im pod nogi. Przedstawiciele naszych elit (artystycznych, sportowych, medialnych) są tak przekonani o własnej samowystarczalności, że gdyby mogli, to twierdziliby pewnie, że nawet przyszli na świat bez pomocy osób trzecich.

Taka postawa elit, które, jak wszędzie na świecie, nadają ton debacie publicznej, ma bardzo przykre konsekwencje dla naszej wspólnoty. Powoduje bowiem wykształcenie się u dużej części społeczeństwa awersji do osiągania wspólnotowych celów wspólnym wysiłkiem. Budowa silnej, dobrze dofinansowanej armii? Bez sensu, i tak się sami nie obronimy, w sytuacji zagrożenia każdy powinien sam zadbać o siebie i własnoręcznie brać nogi za pas. Redystrybucja? Hola hola, dlaczego część efektów mojej harówki ma iść na tych, którym się nie chciało? Uszczelnienie systemu podatkowego? No bez przesady, żeby jakiś urzędnik miał grzebać w moich dochodach!

Takie przekonanie o własnej genialności mogłoby może i być uzasadnione, ale tylko w kraju, w którym panowałaby idealna równość szans, czyli wszyscy obywatele startowaliby z identycznego poziomu. A takie kraje nie istnieją. Polska, co gorsza, jest od tego ideału mocno oddalona. Na równość szans

składa się wiele czynników. Najbardziej oczywistym z nich jest zamożność rodziny. Dziecko z rodziny bogatej ma od początku dużo łatwiej niż potomek ubogich Polaków, który od urodzenia ma pod górkę. Na studiach nie może się skupić na nauce, ale musi dorabiać w fast foodach, żeby stać go było na bilet autobusowy albo książki. Nie wyjedzie też na zagraniczny kurs językowy, a angielskiego poduczy się co najwyżej dzięki amerykańskim płytom hiphopowym. Innym czynnikiem, istotnym szczególnie w Polsce, gdzie prowincja jest wyraźnie poszkodowana pod względem infrastruktury czy dostępu do usług publicznych, jest miejsce zamieszkania. Chłopak z dużego miasta ma zdecydowanie bardziej komfortowe warunki do nauki, niż dziewczyna z niedużej gminy, wstająca codziennie o piątej, żeby 45 minut spędzić w busie do szkoły, który dowozi ją na miejsce godzinę za wcześnie – a innego nie ma.

Jednak najważniejszym i najbardziej niedocenianym czynnikiem jest kapitał kulturowy, jaki otrzymujemy od rodziców – który jest wyjątkowo nierówny i który nie jest naszą zasługą. Oczywiście wszyscy rodzice są wspaniali, bo dali nam życie i za sam ten fakt powinni mieć nasz dozgonny szacunek, nawet jeśli niektórzy potem nazbierali sobie sporo za uszami. Jednak ich możliwości wychowawcze są już bardzo różne – co często nie jest ich winą. Rodzice mający spore zdolności przekazywania wiedzy mogą już w domu nauczyć swoje pociechy wielu umiejętności, które reszta rówieśników posiada dopiero w pierwszych klasach podstawówki. Ich dzieci będą więc już na starcie kilka długości przed koleżankami i kolegami, którzy takiego szczęścia nie mieli. Przedsiębiorczy rodzice już od małego będą kształtować w swych potomkach smykałkę do biznesu i życiową zaradność. Dzieci osób działających w strukturach lub blisko struktur władzy dużo zręczniejszą będą się poruszać w kontaktach z instytucjami publicznymi. W przyszłości nie tylko nie dadzą im się stłamsić, ale też sprawniej wykorzystają je do swoich celów – na przykład starając się o grant dla swojej fundacji będą wiedzieć, jak napisać wniosek i gdzie się z nim najlepiej udać.

Przede wszystkim jednak dzieci z rodzin o wysokim kapitale kulturowym na co dzień chłoną ogromną dawkę wiedzy i umiejętności społecznych. Przypatrują się zachowaniom swoich rodziców w nietypowych sytuacjach, przed którymi stają osoby robiące karierę. Podczas spotkań rodzinnych czy towarzyskich słuchają barwnych opisów świata albo ważnych opowieści dot. historii naszego kraju. Żeby je poznać, nie będą musiały więc ślęczeć godzinami z nudną książką, lecz dowiedzą się o nich z pierwszej ręki. Przede wszystkim jednak od najmłodszych lat będą mimowolnie budować swoje sieci kontaktów. Osoby o wysokim kapitale kulturowym najczęściej mają w gronie towarzyskim podobnych sobie. A znajomość z nimi dla ich dzieci będzie miała znaczenie niebagatelne – pozwoli zdobyć staż w Brukseli, uzyskać inwestora dla swojej raczkującej firmy albo po prostu dostać dobrą pracę.

Kraje wysoko rozwinięte niwelują różnice w kapitale kulturowym i inne czynniki wpływające na nierówność szans za pomocą szerokiego dostępu do usług publicznych. Tworzą więc sieć placówek szkolnych w taki sposób, by każde dziecko miało pod nosem dobrą szkołę. Organizują darmowe zajęcia wyrównawcze, by dzieci z mniej wykształconych rodzin mogły bezpłatnie nadrobić swoje zapóźnienia. Zapewniają sieć transportu publicznego, by mieszkańcy prowincji nie musieli się godzinami telepać do celu. Umożliwiają w każdej gminie dostęp do placówek instytucji publicznych, żeby osoby z peryferii nie traciły czasu na załatwienie każdej sprawy. I, przede wszystkim, tworzą obiektywne i transparentne mechanizmy zatrudniania i awansów, by zdolni obywatele bez nieformalnych sieci kontaktów nie byli poszkodowani. Niestety w Polsce ten proces idzie jak po grudzie, czego dowodzi najnowszy „Transition Report 2016” Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, który analizował, jak wygląda nierówność szans w krajach postkomunistycznych.

EB0iR badał, w jaki sposób czynniki składające się na nierówność szans (wykształcenie rodziców, miejsce zamieszkania, płeć i członkostwo rodziców w partii

komunistycznej) wpływają na wysokość dochodów i możliwości znalezienia pracy. Niestety nie wypadliśmy dobrze. Nierówność szans wpływa w Polsce ogółem na 38 proc. różnic w dochodach. Inaczej mówiąc, w momencie naszego przyjścia na świat nasze przyszłe zarobki w porównaniu do reszty rodaków są już wiadome w dobrze ponad jednej trzeciej. Na tle innych państw postkomunistycznych wypadamy przeciętnie – jednak na to tło składają się wszystkie kraje postkomunistyczne właśnie, czyli m.in. Kazachstan (42 proc.) czy Mołdawia (40 proc.). Trudno więc uznać ten przeciętny wynik za uspokajający. W Niemczech (które dodano do analizy niejako porównawczo) nierówność szans wpływa tylko na 25 proc. nierówności dochodowych, a wskaźnik w okolicach 20 proc. ma m.in. Serbia.

Najciekawsze jednak, jak poszczególne czynniki wpływają na nierówność szans. Polska odrobiła zadanie domowe z niwelowania nierówności z powodu płci: jej wpływ na nierówność szans jest w Polsce jednym z najniższych wśród wszystkich badanych krajów i, co ciekawe, jest dużo niższy niż w Niemczech. Niestety, pod względem dwóch innych czynników jesteśmy w czołówce – i oba są związane z kapitałem kulturowym właśnie. To przede wszystkim wykształcenie rodziców (co się przekłada na ich zdolność do przekazywania wiedzy), które odpowiada za prawie 60 proc. nierówności szans w Polsce. Jest to najwyższy wynik wśród badanych krajów. Drugi czynnik to członkostwo rodziców w byłej partii komunistycznej, które w Polsce i Estonii ma najbardziej istotne znaczenie wśród krajów naszego regionu (do których EB0iR zalicza kraje bałtyckie i Grupy Wyszehradzkiej) – zwiększa ono nadwiślańskie nierówności szans o kolejne 10 proc. Ten czynnik oczywiście wiąże się z jednym z elementów kapitału kulturowego, jaki opisałem wyżej – z budowaniem sieci kontaktów. Kapitał kulturowy rodziców, na który według raportu EB0iR składają się właśnie ich wykształcenie i ewentualne członkostwo w byłej partii komunistycznej (czyli sieci kontaktów), odpowiada w Polsce w sumie za 68 proc. nierówności szans. To wynik tak wysoki, że aż trafił na okładkę omawianego raportu.

O tym, jak wielkie znaczenie ma w Polsce kapitał kulturowy rodziców, przekonują także dane Eurostatu. Zaledwie ok. 8 proc. Polaków, których rodzice mają wykształcenie zawodowe lub podstawowe, zdobywa wyższe wykształcenie. To najgorszy wynik w UE – a osiągnęliśmy go wspólnie z Bułgarią, Chorwacją, Słowacją i Czechami. Odsetek absolwentów uczelni pochodzących z rodzin o niskim wykształceniu w Estonii i Szwecji jest trzy razy wyższy, a w Wielkiej Brytanii i Finlandii nawet cztery razy. Ktoś mógłby machnąć ręką i stwierdzić, że wykształcenie zdobyte na polskich uczelniach i tak jest niewiele warte – tylko że niewiele warte byłoby takie tłumaczenie. Według analizy opublikowanej przez „The Economist”, wśród krajów OECD tylko w USA i Irlandii wyższe wykształcenie przekłada się na zwiększenie zarobków bardziej niż w Polsce. Wśród krajów wysokiej równości szans (Skandynawia, Beneluks) ma ono nawet 2-3 razy mniejsze znaczenie dla osiągniętych dochodów niż nad Wisłą.

Niestety polskie instytucje państwa „dobrobytu” (jakkolwiek w naszych warunkach komicznie to brzmi) zupełnie nie radzą sobie z zacieraniem różnic w kapitale kulturowym między obywatelami. To powoduje, że kapitał kulturowy rodziców jest jednym z najistotniejszych czynników powodzenia zawodowego nad Wisłą. Wielu z nas o równym starcie może więc zapomnieć. Szkoda, że nasi rodzimi „self-made mani” przemilczają, ile dostali od swych rodziców. I to, że wielu rodaków takich atutów nie miało.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl